

Janusz M. Lewandowski

## Miasto 1944, miasto 2014 – recenzja nierocznicowa

---

W styczniu 1944 r. rusza walec Armii Czerwonej. Po triumfach po Stalingradem i Kurskiem nikt nie ma wątpliwości, kto będzie zwycięzcą tej strasznej, wyniszczającej wojny, która zaczęła się 22 czerwca 1941 r. Wojska sowieckie prą na zachód w celu wyzwolenia tych rubieży swego kraju, które jeszcze są pod kontrolą niemiecką. Niosą *wolność* ludziom radzieckim od Leningradu, przez Smoleńsk, Mińsk, Kijów, aż po Krym. Wkraczają także na tereny II Rzeczypospolitej, określane w propagandzie jako zachodnia Białoruś i zachodnia Ukraina, tzn. te tereny, które anektowane zostały przez ZSRS już 17 września 1939 r. Teraz wydarzenia następują po sobie w tempie isticie ekspresowym – zajęcie Wileńszczyzny, Wołynia, Ukrainy, akcja „Burza”, przekroczenie rzeki Bug, zajęcie wschodniej Małopolski, Podlasia, atak na kierunku warszawskim. Wreszcie najtragiczniejsza polska bitwa nie tylko XX w. – Powstanie Warszawskie – rozegrana na ulicach stolicy pomiędzy silną jeszcze armią niemiecką, a bezbronną Armią Krajową, przy obojętności i cynizmie dowództwa sowieckiego, mającego interes w tym, by walczące strony wykrwawiły się i ułatwiły w ten sposób przemarsz zwycięskich zagonów.

Dla Polski i Polaków to właśnie rok 1944 jest tym, który określił nasz los na kolejnych kilkadziesiąt lat, burząc dotychczasowy porządek, przekreślając nadzieje na suwerenny i niepodległy byt. Rok 1944 to czas wielkiej katastrofy w wymiarze zbiorowym i indywidualnym, hekatombi całych grup społecznych, etnicznych, zagłady wielkich miast. W katalogu miejsc, które ucierpiały w sposób szczególny, naczelne miejsce zajmuje bez wątpienia Warszawa – serce II Rzeczypospolitej, miasto niepokorne, jak żadne inne naznaczone cierpieniem i śmiercią. Nie boję się dużych słów o katastrofie, hekatombie, zagładzie, bo wiem, iż można opisać sytuację stolicy jeszcze bardziej dosadnie, bez stosowania omówień, synonimów, patrząc na jej dzieje przez pryzmat wspomnień żyjących nadal uczestników i świadków zdarzeń.

Katastrofa, która była udziałem Warszawy, przeszła do historii jako wyraz niezłomności i wielkości ducha naszego narodu, a przynajmniej jego najmłodszej części, przejaw męstwa, heroizmu, niezwykłego poświęcenia, szaleńczej wręcz odwagi w obliczu siły niszczącej wszystko dookoła. Ujęci w żelazne kleszcze dwóch totalitaryzmów ludzie z pokolenia Kolumbów, rocznik 20. rzucili na całopalny stos to, co mieli najlepszego – swoją młodość, niewinność, ideały, wreszcie życie.

Powstanie Warszawskie jest jednak także świadectwem skrajnej nieodpowiedzialności elity przywódczej Polskiego Państwa Podziemnego. Wydano bowiem bitwę, zdając sobie sprawę ze szczupłości swoich sił, osamotnienia politycznego i militarnego, beznadziejności sytuacji w wymiarze geopolitycznym. Wydano także na zatrącenie dwie setki tysięcy żołnierzy i mieszkańców miasta. Składając hołd bohaterstwu powstańców, powinniśmy zatem pamiętać to, co napisał w swej niewielkiej, ale niezwykle ważnej książce Tomasz Łubieński o apologetach powstania: „Może nie powinni, ale lubią powoływać się na zbiorowy wielki czyn. Lecz jeśli już wśród emocji wolno odwołać się do arytmetyki, tysiąc poległych pod Monte Cassino (mniej niż berlingowców na Przyczółku Czerniakowskim), owych »tysiąc walecznych « kompletnie umundurowanych i z bronią w ręku stokroć lepiej się »opłaciło «, skuteczniej pokrzepiło serca niż 200 tysięcy ofiar Powstania. Ta liczba jest zbyt ogromna na gest, symbol, legendę. Nie nadają się do legendy dziewczęta gwałcone na zieleniaku, chłopcy wystrzelani na placu Narutowicza, ranni wymordowani po szpitalach, dzieci, kobiety i starcy zabici tylko dlatego, że potrafili w porę skryć się przed bombami albo udało im się dostać do piwnicy, ale tam zostali żywcem pogrzebani albo rozszarpani granatami, które wróg wrzucał przez piwniczne okienka” [T. Łubieński, Ani tryumf, ani zgon].

\*\*\*

Przez ponad dziesięć ostatnich lat byliśmy – niestety – w objęciach „uczuciowców” (to z Kisielewskiego), którzy próbowali i czynią to nadal narzucić wspólnocie swoją narrację związaną z powstaniem. W tej wizji mamy zatem bezwarunkową akceptację dla decyzji dowództwa AK, gloryfikację wysiłku zwykłych żołnierzy, którzy są już dziś niemal bogami, herosami wojny, gigantami walki i wzorami do naśladowania dla młodych pokoleń. Jest w tym obrazie wiele prawdy, równie wiele – niestety – fałszu, a przynajmniej uproszczeń. Niech wybrzmi w tym miejscu wypowiedź Lecha Mażewskiego – publicysty cytowanego już przeze mnie przy innej okazji: „Jasełka – to dobre określenie. Chodzi mi właśnie o taki sposób odwołania się [...] do patriotycznych emocji mas, że inaczej niż jasełkami nie można tego nazwać. Akurat świetnie do tej roli nadaje się apologia powstańczych klęsk w walce z Rosją. W wersji, którą zaprezentowano nam w trakcie obchodów 60. rocznicy powstania warszawskiego, nie ma żadnej głębszej refleksji o położeniu geopolitycznym Polski. Jest jedynie przekonanie o niezawinionej klęsce, za którą odpowiedzialność ponoszą wszyscy – poza przywódcami podziemia, którzy 31 lipca 1944 r. wydali fatalny w skutkach rozkaz o podjęciu walki o stolicę. I o to w gruncie rzeczy chodzi. Przywołanie zaś tradycji zwycięskich

powstań (antypruskiego i antyniemieckiego) byłoby niebezpieczne z tego względu, że tam nasze powodzenie wynikało właśnie z poprawnej kalkulacji politycznej i z właściwego rozumienia kontekstu geopolitycznego, w jakim znajdowała się ówczesnie sprawa polska”.

Z tego ducha wyrosło Muzeum Powstania Warszawskiego, miejsce notabene o wielkiej roli edukacyjnej, z tego ducha upowszechnił się ruch rekonstrukcji scen batalistycznych związanych z bitwą warszawską, wreszcie z tego ducha zrodziła się moda na stroje z epoki. Ta fala zalała także kino i telewizję zarówno w postaci filmów dokumentalnych, fabularnych, jak i wszelkiego typu projektów interdyscyplinarnych – m.in. połączenie muzyki ze sztuką video, muzyki rockowej z symfoniczną czy też plastyki ze wszystkimi dostępnymi mediami.

Mażewski pisze o jasełka, to znaczy o sprowadzeniu ważnego tematu do poziomu jednowymiarowej, bardzo uproszczonej, zbanalizowanej formy opowiadania. Ja natomiast dodam, iż w owej jasełkowej wizji nie ma miejsca ani dla wątpliwości, ani też dla półtonów, bo i po co szukać półcieni tam, gdzie toczy się zażarta walka o serca (przede wszystkim) i umysły (rzadziej) zdezorientowanego społeczeństwa, które właśnie wychodzi z komunizmu. Świat jest jednak zdecydowanie bardziej skomplikowany, niż byśmy chcieli, w związku z tym wszelkie szwy uproszczeń wcześniej czy później wychodzą na wierzch, odsłaniając lichotę skrywanego obrazu. Pojawiać zaczynają się więc znów poważne wątpliwości, które w naszym przypadku uzewnętrzniają się najdobitniej w postaci książek P. Zychowicza „Obłęd’44”, R. Ziemkiewicza „Jakie piękne samobójstwo” lub też filmu J. Komasy „Miasto 44”. Wydaje się, iż czytelnik roku 2014 chce czegoś więcej niż tylko mitu powstańczego, więcej niż apologii zrywu antyrosyjskiego. „Polski patriotyzm nie może sprowadzać się do apologii powstańczych klęsk w walce z Rosją. Powstańcom należy się szacunek, ale przywódcy, podejmujący błędne decyzje wojskowe czy polityczne, zasługują jedynie na postawienie przed sądem, jak w przypadku zrywu warszawskiego chciał tego gen. Władysław Anders. Niech będzie to chociaż sąd potomnych, jeśli na proces przed innym trybunałem jest już za późno” (znów Mażewski). Na szczęście już dziś nie wystarczy powiedzieć, iż powstania były nieuniknione, beznadziejne, ale potrzebne. Dociekliwy czytelnik i widz chcą prawdy, choćby najtrudniejszej, ale zawsze prawdy. Coraz częściej przestaje działać argument-wytrych: należy czcić żołnierzy powstania, gdyż niedługo zabierze ich śmierć, a kto tego nie czyni lub – co gorsza – podważa zasadność zrywu sierpniowego – jak niegdyś komuniści – niegodzien jest miana patrioty. Można i trzeba być patriotą-racjonalistą, który zastanawia się nad naszą wspólną historią, bo tylko zwycięstwo rozumu nad sercem jest warunkiem przyszłych sukcesów.

\*\*\*

Jeśli dobrze rejestruję nastrój ulicy, to właśnie film Jana Komasy „Miasto 44” może stać się – podobnie jak to się dzieje w przypadku wymienionych wcześniej książek Zychowicza i Ziemkiewicza – katalizatorem tej wielkiej, ale – moim zdaniem – potrzebnej zmiany. Potrzebnej, bo przywracającej właściwą kolej rzeczom i opiniom na ich temat. Moja nadzieja wzbiera, gdy myślę, jaką przewagę posiada kino w porównaniu z innymi sztukami. W epoce obrazu, zapisu audiowizualnego przeciętny odbiorca wie tyle, ile zarejestruje jego pamięć wzrokowa i słuchowa, ile – mówiąc w najprostszy sposób – uda mu się zobaczyć w telewizji. A w filmie „Miasto 44” zobaczyć może wiele. Już nie dzięki opisowi książkowemu, lecz bezpośredniej relacji audiowizualnej poznajemy kolejne epizody z sześćdziesięcioletniej epopei zbuntowanego miasta. Trzeba od razu powiedzieć, iż sekwencje walki na cmentarzu, egzekucji ludności cywilnej, obrony kolejnych odcinków, przejścia kanałami do następnej, jeszcze wolnej dzielnicy czy też wybuchu pojazdu-pułapki, zainscenizowane ze starannością i iście hollywoodzkim rozmachem, wywołują u większości widzów wstrząs, czasami zdają się nie do zniesienia. Jest jednak w nich prawdziwy koszmar, tragizm ludzi i upadającego miasta. Podpisuje się obydwoma rękoma pod słowami jednego z moich kolegów recenzentów (M. Fijołek, *Ani chwili oddechu. „Miasto 44” wciąga jak narkotyk. Raz jeszcze o filmie Komasy.* wPolityce.pl), który pisze, iż „Komasa zaprasza i wciąga w wir, rodzaj transu, w którym pokazuje piekło, jakim latem 1944 roku stała się Warszawa. Kolejne dzielnice stolicy są niczym kręgi piekielne, przez które reżyser postanowił przeprowadzić widzów. Nie ma ani chwili na odpoczynek czy złapanie oddechu – groza, strach i śmierć biją z każdego zakątka walczącej z niemieckim okupantem Warszawy. Reżyser ukazuje płonąca stolicę z całym jej dramatem, nadzieją i krwią, która wsiąkła w grudy Warszawy. To film naprawdę dla osób o mocnych nerwach”. O ile dorosły widz w Polsce przyjmuje bez większych zastrzeżeń nowoczesną technologię w filmach produkowanych przez Stevena Spielberga („Szeregowiec Ryan”, „Lista Schindlera”) czy Toma Hanksa („Kompania braci”), o tyle ma problem z tym samym w przypadku filmów rodzimych. Wynika to pewnie z dwóch rzeczy: przyzwyczajenia – wychowaliśmy się na batalistycznym kinie spod znaku Wajdy, Różewicza czy Passendorfera, w którym śmierć jest estetyczna; oraz braku dystansu wobec naszej historii najnowszej – eksperymenty formalne w przypadku narodowej tragedii są – zdaniem niektórych – nie na miejscu.

Mając w pamięci niniejsze uwagi, warto powiedzieć, iż reżyserowi i całej epice realizacyjnej udało się sztuka nielada – zawrzeć w obrazie choć kawałek prawdy o niebywałej rzezi, jaką była bitwa warszawska 1944 r. Piszę tu o kawałku prawdy, gdyż – moim zdaniem

– Powstanie Warszawskie było znacznie bardziej krwawe, bezwzględne, okrutne, a zachowanie dirlewangerowców i ronowców zbrodnicze. Kto nie wierzy, niech posłucha wspomnień ocalonych z rzezi Woli, zgwałconych dziewczynek i kobiet z zieleniaka na Ochocie, żołnierzy i cywilów wydobytych z warszawskich kanałów lub spod gruzów Starego Miasta. Niech wreszcie przeczyta niezwykłą książkę Mirona Białoszewskiego.

Oglądając obrazy wykreowane przez ekipę Komasy, wiem, że nie mamy tu do czynienia z landszaftem, widokówką z gry miejskiej, jakich wiele obecnie odbywa się w naszym kraju, lecz rzeczywistym koszmarem, krwawą łaźnią sprawioną przez Niemców ludności stolicy. „Miasto 44” Komasy nie jest filmem dokumentalnym, kronikarskim zapisem 63 dni powstania, bo tę dziedzinę reżyser pozostawia takim realizatorom jak chociażby Ewa Ewart („Zdobyć miasto”), ale historią ludzi wciągniętych – nie zawsze z ich woli – w wir niezwykłych zdarzeń. Opowieścią o literackich korzeniach, tchnącą jednak prawdą psychologiczną, autentyzmem uczuć, szczerością intencji bohaterów. Historia Stefana, „Kamy” i „Biedronki”, opowiedziana przez Komasę, nawiązuje do wątków słynnej powieści Romana Bratnego „Kolumbowie, rocznik 20” i serialu Janusza Morgensterna pod tym samym tytułem czy też nie mniej słynnego filmu Andrzeja Wajdy „Kanał”. Jest więc tu niezwykle poświęcenie młodej dziewczyny, dla której nie ma ważniejszej rzeczy niż uratowanie kochanego mężczyzny. „Biedronka”, jak wcześniej „Niteczka” czy „Stokrotka”, dokonuje czynów niezwykłych wiedzona uczuciem do chłopaka, ale także zwykłym współczuciem wobec spotykanych na drodze swej wędrówki: dziecka osieroconego przez rodziców, ciężko poranionych uczestników powstania i zwykłych cywilów. „Nagrodą” za jej poświęcenie będzie los wielu warszawskich dziewcząt, które zostały zgwałcone i zamordowane.

Opowieść o młodych warszawiakach idących do powstania „jak do tańca” (także z sensie dosłownym) jest wiarygodna i wzruszająca dzięki świetnemu doborowi aktorów. Komasa postawił na nieznane twarze, bardzo młodych aktorów o nieznanym jeszcze nazwiskach, których największym atutem jest szczerość i autentyczność. Jeśli nawet nie posiadają profesjonalnego warsztatu, to nadrabiają wszelkie niedostatki swą żywiołowością, bezpośredniością, młodzieńczą brawurą. Są autentyczni, gdy beztrąsko bawią się nad brzegiem rzeki, gdy przeżywają pierwsze erotyczne fascynacje, gdy szykują się do powstania, gdy wreszcie konfrontują wyobrażenia z brutalnością wojny. W odróżnieniu od innych recenzentów nie krytykuję reżysera za sceny pocałunku czy seksu, bo – moim zdaniem – nie są one jakimś elementem obcym dla struktury narracji, przeestetyzowanym ornamentem, lecz częścią wielowymiarowej opowieści o młodych ludziach i ich emocjach.

Nie jest również dziwactwem w „Miście 44” Jana Komasy ilustrowanie obrazu utworami Lany Del Ray, Niemena i Marino Mariniego. Nie stanowi dla mnie dysonansu również komentowanie zdarzeń muzyką transową. Uważam bowiem, iż utyskiwanie na przemiany języka filmowego w ogóle jest zajęciem jałowym, mało istotnym. Cieszymy się, że polscy reżyserzy potrafią korzystać z arsenału środków audiowizualnych w sposób twórczy, potrafią przełamywać schematy, by kręcić interesujące i ważne filmy.

Jedną z najważniejszych kwestii jest ocena sensu Powstania Warszawskiego. W filmie „Miasto 44” nie padają pytania o słuszność powstańczego zrywu, bo ten film – moim zdaniem, wyrósł z przekonania o bohaterstwie powstańców, których rzucono bez broni na krwawy bój. No właśnie, nie pojawia się u Komasy ani jeden wyższy dowódca AK, nie prowadzi się tutaj jakichkolwiek dyskusji o terminie wybuchu powstania, nie rozważa się za i przeciw, nie nazywa się powstania – jak u P. Zychowicza – obłędem, ten obłęd się po prostu pokazuje. Jest on widoczny, gdy młodzi tanecznym krokiem wyruszają na zbiórkę w godzinie „W”, gdy gołymi rękoma atakują budynek szkolny, gdy główny bohater przypatruje się śmierci swej matki i braciszka, gdy z nieba padają krwawy deszcz i fragmenty ludzkich ciał, gdy mordowani są pacjenci szpitali. Tylko w jednej ze scen rozgrywających się na Czerniakowie słychać głosy komentarza: jeden – dziękujący powstańcom za wysiłek i ofiarność, drugi –obwiniający ich za zniszczenia miasta. Zgadza się po raz drugi z recenzentem portalu wPolityce.pl Marcinem Fijołkiem, który pisze tak: „Trzeba [...] uczciwie przyznać, że „Miasto 44” nie wpisuje się w cykl świętowania w stylu (skądinąd przesympatycznego) corocznego śpiewania (nie)zakazanych piosenek na Placu Piłsudskiego. Komasa nie nakręcił filmu budującego dumę narodową, Komasa pokazał Powstanie Warszawskie.

Czy można mieć do niego o to pretensje? Być może. Ale z pewnością nie można zarzucać „Miastu 44” wpisywania się w jakąś antypowstańczą opowieść o bezsensie walki czy niszczeniu patriotyzmu.

Film jasno pokazuje, że to Niemcy są odpowiedzialni za całe zło, a scena ze składaną przysięgą głównego bohatera (gdy przed chwilą przysięgał matce, że nie będzie się w nic mieszał) po prostu wyciska łzy z oczu. Zresztą momentów, gdy pojawiają się ciarki na plecach, jest więcej. A że bohaterowie za mało (za mało, a nie wcale) mówią o wolności, Polsce i ideałach? Że nie wszyscy bohaterowie umierają z Polską na ustach, ale po prostu chcą żyć, że wśród młodych ludzi obok (obok, a nie zamiast!) patriotyzmu panuje radość i chęć życia? Znow nie widzę tu powodów do zarzutów”.

Na koniec chciałbym podkreślić, iż „Miasto 44” Jana Komasy powinno być lekturą obowiązkową dla każdego starszego gimnazjalisty czy licealisty, by lekcje historii nie były tylko wkuwaniem dat i suchych faktów. Jest zatem okazja do poważnej rozmowy z młodzieżą, która – jak pokazują badania – niezbyt wiele wie o naszej najnowszej historii, a przez to nie rozumie procesów zachodzących we współczesnym świecie. Mam jednocześnie nadzieję, iż nie poprzestaniemy na objaśnianiu młodym istoty zdarzeń, ale podejmiemy dyskurs uwzględniający ich oczekiwania. Ilość nauczycieli, obecnych na seansie specjalnym „Miasta 44” w kaliskim kinie Helios, oraz ich reakcje po obejrzeniu filmu każą wierzyć, iż taka dyskusja w niejednym miejscu na pewno się odbędzie.

***Miasto 44. Scenariusz i reżyseria: Jan Komasa, zdjęcia: Marian Prokop, muzyka: Antoni Komasa-Łazarkiewicz, montaż: Michał Czarnecki. Wykonawcy: Józef Pawłowski, Zofia Wichłacz, Anna Próchniak, Antoni Królikowski, Maurycy Popiel i inni. Polska 2014***